

PIERWSZY LIST Z ZACHODU

Dosyć tej gnuśności. Wstyd mi. Jestem uprzywilejowany. Znowu wyjechałem z kraju. Nie czytam tutaj prasy. Co robię? Żyję. Kisielewski zarzucał mi swego czasu egzystencjalizm. Czemu egzystencjalizm? „Dlatego, że ty tylko egzystujesz”, mówił mi Kisielewski w 1952 roku. „To już dużo”, odpowiedziałem mu wtedy.

Dzisiaj sterczę nad Jeziorem Lemańskim, *le lac Léman*, jak by napisał Gałczyński, gdyby tu siedział i gdyby żył i wiedział, że Szwajcarzy nie lubią, gdy się mówi „Jezioro Genewskie”.

U najlepszego przyjaciela, którego nie widziałem od 1932 roku, siedzę i patrzę na jezioro, na Alpy i na Szwajcarię u moich stóp. Otrzymuję numer „Przeglądu” z artykułem sygnowanym „Twój zastępca”. Pseudonim przejrzysty – wstrząsnęło mną, gdy rozpocząłem lekturę od wstępnego „Drogi Zygmuncie” (nr 25 [251] rok IV)*. Nie dlatego, żebym już zapomniał o Polsce. Wręcz przeciwnie. Z każdym dniem odczuwam bardziej, że jest już za późno. Że ta Polska, gdy się ma pięćdziesiąt lat, jest jedynym sensem, od którego niepodobna uciec. Ale wtedy wydaje mi się, że za późno jest jeździć turystycznie. Niech to robią młodzi.

Gdy w 1936 roku wracałem do Polski i zasiadłem w niedużym podkarpackim miasteczku u fryzjera (było to na przedmieściu Jasła, dokąd trafiłem prosto z Paryża), nawiązałem pierwszy mój kontakt z Krajem, z owym oto jasielskim fryzjerem. Brodę miałem dwa dni niegoloną, rozmowa była ożywiona. Fryzjer usiłował wydobyć ze mnie, skąd ja właściwie przyjeżdżam. Plątałem się w moich zeznaniach, bo wstyd mi było mówić mu, że przyjeżdżam z Paryża. Ale fryzjer był nieustępliwy, więc wybąkałem wreszcie, na pytanie: skąd? – owo okropnie zawstydzające mnie „z Paryża”. I wtedy usłyszałem: „Ach – to tam muszą być tanie pomarańcze”.

Dwadzieścia jeden lat minęło od tego czasu, a ja ciągle słyszę: „Ach, to tam muszą być tanie pomarańcze”.

I dzisiaj, po owych dwudziestu jeden latach, widzę ciągle to przedmieście jasielskie, chłopa w oknie, z batem, końmi, polem żyta (bo żyto rosło zaraz obok fryzjera) i pomarańczami, które muszą być tanie w Paryżu.

I rzeczywiście. Są tanie, chociaż dokładny sprawozdawca, nie Polak, ale normalny zachodnioeuropejski sprawozdawca, dałby Wam, drodzy Czytelnicy, dokładniejszy obraz cen, zarobków, statystyk i w ogóle tutejszych warunków życia. Ale

ja jestem Polakiem, który nie chce drażnić nikogo. I jeżeli wstyd mi jest jeździć na starość, wstyd mi za tych wszystkich, którzy tu jeżdżą, ażeby handlować grzybami czy zegarkami – to nie wstyd mi posłać Wam stąd obraz „mojego” fryzjera z Jasła i chłopca z batem przy oknie. Bo tutaj, gdzie stoi w Chartres katedra z witrażami z XIII wieku, nie mam co dorzucić, mogę tylko patrzeć na to, co mrówcza praca przez osiemset i tysiąc lat zrobiła. Mogę widzieć, ale nie mogę dorzucić nawet wtedy, gdy się czuję mądrzejszy o widok bagna zbrodni, której byliśmy świadkami na ziemi.

Nie mogę tu nawet udawać, że jesteśmy bardziej szlachetni. Nie ma bowiem szlachetnych i nieszlachetnych narodów. Bogactwo może być ideałem dla biednych, ale nie kosztem rabunku, lecz tylko kosztem rozsądku i pracy. Może to bardzo źle, że tu mało kto myśli o ideologii, o polityce, o tak zwanej sprawie publicznej. Każdy myśli o swojej pracy, która przynosi mu większy czy mniejszy zysk. Zysk, czyli dochód. Jest to długotrwały proces, w którym sąsiedzkie poszanowanie bliźniego zostało unormowane szeregiem drobiazgowych ustaw, których nikt, zarówno rządzący, jak i rządzeni, nie śmie przekraczać. Ustawy te obowiązują bowiem dwustronnie. Ograniczają jednych jak i drugich. Bogaci są uprzywilejowani, ale tylko do pewnych granic. Minęło sporo czasu, od kiedy Monteskiusz pisał *Listy perskie***. Kapitalista drapie się tu po głowie, zanim wynajmie robotnika po czterdzieści franków szwajcarskich za dniówkę.

W tych warunkach sztuka wygląda też całkiem inaczej niż u nas. Jest kwiatem, dosyć kosztowną zabawą, poszukiwanym „zabiciem czasu” (*passe-temps*), ideałem – czasami. Ale tu nikt od ideałów nie zaczyna. Czasami tylko do nich dochodzi.

Sztuka jest tu sprawą najważniejszą dla artysty, mniej ważną dla odbiorcy, chociaż istnieje pewna liczba odbiorców, którzy nadają wagę tej sztuce, w porozumieniu, rzecz jasna, z handlarzami. Mody, styl, cena – niczego tu nie ma za darmo, za wszystko trzeba płacić. Co kraj to obyczaj. Obyczaj ten ma osiemset lat. Jest dawno wypróbowany i wynika z niego, że to, co jest zupełnie za darmo, nie jest nic warte.

Widziałem sporo muzyków. Zbliżyłem się do grupy młodych, byłem u Bouleza, Pierre’a Schaeffera i Dutilleux, widziałem się ze Stockhausenem, a ze starszej i średniej generacji z Nadią Boulanger, Rubinsteinem, Marcelle de Manziarly, Dodą Conradem, Szałowskim, Spisakiem, Panufnikiem – i nie tylko z nimi, ale i z Miłoszem, Czapskim i wielu innymi, których wstyd wymieniać. Widziałem ludzi dynamicznych i ludzi smutnych. Smutnych bezgranicznie i bezgranicznie dynamicznych. Miałem wrażenie, że zanurzyłem się w świecie, z którego trzeba uciekać do Polski, bo u nas jest dużo do

roboty, a tutaj jest trudno coś dorzucić. Oni dawno temu wybudowali katedrę w Chartres i teraz to już wymyślają, jak fabrykować cukierki, w których alkohol nie potrzebuje otoczki z cukru, żeby nie stopić czekoladki. Poza tym zaś ludzie moralnie zdrowi nie chcą tu używać lodówek, lecz uważają, że trzeba mieć piwnicę na tyle chłodną, żeby tam trzymać produkty. Natomiast w lodówce można zrobić co najwyżej lód dla własnego użytku.

Lecz gdzie tu zaczyna się i gdzie kończy muzyka?

Stara sprawa. Trzeba mieć coś do powiedzenia. Bez tego ani rusz. Można wymyślać wszystko. Cyfry, serie, nakładane na taśmę dźwięki – hałasy, obcinane czy dodawane alikwoty, ale czy można zmienić człowieka?

On drży, gdy niebezpieczeństwo nadchodzi, cierpi, gdy cierpienie jest prawdziwe, usypia i nudzi się, gdy nad brzegiem jeziora liczy tylko procenty od kapitału. Ciekawy jest człowiek – chce rozbudzenia, gdy śpi, chce snu, gdy go budzić zbyt często.

Ale jednak ta stara Europa, nawet gdy już schodzi do rzędu małego półwyspu, to jednak zawsze zdumiewa swym dynamizmem. Ona rodzi sprzeczne idee, ona pracuje duchowo i materialnie z niezmożoną, twórczą energią. Ona nie jest prymitywna. Jest złożona jak człowiek. Konsumuje i tworzy, pracuje za trzech, nie pyta nigdy „po co” i „dlaczego”. „Ażby praca, której się podejmuje, była najlepiej wykonana”. Nikt tu nie podaje w wątpliwość tej wartości najwyższej, nikt jej nie dyskutuje: pracy, która jest szczytem przyjemności. Francuzi nazywają to *le plaisir de bien faire* – „przyjemność dobrze wykonanej pracy”. Mam wrażenie, że to jest kwintesencja tej starej kultury i tak zwanego stylu życia. Murarz, gdy buduje murek, szewc, gdy szyje buty, Schaeffer, gdy kręci guzikami i wydobywa różne przykre tony z aparatu, który wymyślił, rada kantonalna, gdy uchwała cenę na produkty rolne – wszyscy dążą do tej przyjemności, która wynika z dobrze wykonanej, pożytecznej pracy.

Rezultaty bywają rozmaite. Problemy, w szerokim zakresie działania, zadają nieraz kłam przedsiębranym decyzjom. Zwątpienie i nuda czają się zarówno u bram bogatych posiadłości, jak i u progów kancelarii ministerialnych. Ale całość maszyny funkcjonuje, bo świat nie doszedł jeszcze do kresu nocy, nie myśli o pierwszych próbach, których zalążki wyszczerzyły swe zęby w naszym wieku. Cienie tych możliwości, które nasz wiek ukazał, realizując obozy koncentracyjne, deportacje całych prowincji, rzucając bomby atomowe na gęsto zamieszkane miasto, nie padły jeszcze na świat spokojny, świat wesoły, świat pracujący od wieków. Zdaje się nam jeszcze, jak

ptakom nad morzem, że nic się nie zmieniło, że morze jest wieczne, a nie wiemy, czy to wieczne morze nie wycieknie, skoro wykopaliśmy już pod nim dużą dziurę, przez którą wszystko, co było dotychczas, ujść może.

Już wkrótce wrócę z kraju, w którym pomarańcze są tanie – do kraju, gdzie zamiast cytryn dojrzewa zimą głóg zwarzony mrozem. Spieszę się niespokojny, czy aby nie stało się tam coś, co mógłbym tu prześlepić. Spieszę się do domu, którego nie mam. Spieszę się do uczuć, które wstyd mi ujawniać. Do wszystkiego, co jest za późno albo za wcześnie. Do wrażenia, że jestem potrzebny, nawet gdy nikt mnie nie potrzebuje. Ta jazda utwierdziła mnie w przekonaniu, że tu powinni przyjeżdżać przede wszystkim młodzi. Konkretnie, do szkół, do profesorów, do fabryk na praktykę, do bibliotek i warsztatów, w których się nie dyskutuje, ale uczy i produkuje. A może wtedy, zamiast katastrofy, świat nasz ulegnie w jakiś cudowny sposób prawom naczyń połączonych, w których poziom płynu wyrówna się w sposób prosty, bezbolesny i mniej niż dotychczas tragiczny.

18 lipca 1957

**Twój Zastępca, Notatnik muzyczny. The Cleveland Orchestra, „Przegląd Kulturalny”* 1958 nr 25, s. 6. Notatnik ten jest rzeczywiście napisany w formie listu do Zygmunta Mycielskiego, który prowadził tę rubrykę.

** *Listy perskie* Monteskiusza ukazały się w 1721 roku. Ich bohaterami są dwaj Persowie, którzy odbywają podróż po Europie i opisują swe wrażenia w formie listów do przyjaciół – podobnie, jak czyni to tutaj Zygmunt Mycielski.

Zygmunt Mycielski, *Znaki zapytania*, Kraków 2022, s. 367–370